

Świat jako komunikacyjne nie-miejsce

21 września 2024

Mój tekst ma dwie tezy.

Pierwsza mówi, iż nasza codzienność, w tym szczególnie różne przestrzenie, które przemierzamy i gdzie spotykamy się z innymi ludźmi, krok po kroku, w coraz szybszym tempie, zaczynają zamieniać się w nie-miejsca.

Druga teza jest związana z przyczynami owej zmiany, których upatruję w przemianie wartości kulturowych oraz sposobach komunikacji. Skutkują one kurczeniem się sfery symbolicznej kultury (J. Kmita) czy też sfery publicznej (R. Sennett), a co za tym idzie kłopotów komunikacyjnych, a nawet malejącej chęci podejmowania komunikacji międzyludzkiej. Coraz dalej posuwający się indywidualizm, wręcz hiperindywidualizm, czyli nastawienie tylko i wyłącznie na swoje Ja, sprawia, że przestajemy chcieć i potrafić komunikować się z innymi ludźmi. Ostatecznie grozi to kulturowym autyzmem i komunikacyjnym solipsyzmem, czyli rozpadem społeczeństwa na zbiór niepołączonych ze sobą jednostek. W tym sensie świat społeczny stanie się jednym wielkim nie-miejscem.

Po kolei.

Pojęcie nie-miejsca wprowadził francuski etnolog Marc Auge. Oznacza ono taką przestrzeń, w której ludzie są razem fizycznie, ale nic ich ze sobą nie łączy. Nie-miejsce gromadzi ludzi ze względu na określony cel, np. zakwaterowania, zakupów czy podróży. Z tego względu nie-miejsca to m.in. hotele, centra handlowe, lotniska, dworce kolejowe. Można nawet powiedzieć o tendencji łączenia nie-miejsc, np. jak we Wrocławiu, gdzie dworzec autobusowy jest w środku galerii handlowej. Słowem nie-miejsce to odwrotność miejsca, które jest oswojone, gdzie czujemy się u siebie, jesteśmy

zadomowieni i mamy świadomość więzi z innymi ludźmi.

Czym jest sfera symboliczna kultury?

W rozumieniu polskiego kulturoznawcy Jerzego Kmity, oznacza ona konwencjonalny zasób wiedzy podzielanej przez użytkowników, którzy w procesie komunikacji wymieniają i wzajemnie interpretują, zgodnie z tymi konwencjami właśnie, dane symbole. Od posiadania tej wiedzy zależy wzajemne sobie zrozumienie, muszą zatem tę wiedzę intersubiektywnie dzielić, aby uchwycić sens danego działania komunikacyjnego.

Przykładowo intencjonalne „puszczenie oka”, czyli wtedy, kiedy robię to świadomie i celowo, a działanie to nie jest spowodowane tikiem czy faktem jego zabrudzenia (coś wpadło mi do oka), oznacza inicjowanie podrywu, gdyż tak to się robi w naszej kulturze, tj. istnieje w niej taka konwencja realizowana w odpowiednim miejscu i czasie, np. na dyskotecę. Kомуś, kto nie zna tej konwencji, „puszczenie oka” nic nie powie, gdyż nie rozumie on właśnie sfery symbolicznej, czyli do czego odsyła czy na co wskazuje gest zamknięcia powieki. A zatem żeby skutecznie się komunikować, tj. żeby ktoś zrozumiał, co intencjonalnie chcemy powiedzieć („Podobasz mi się”), musimy znać pewne reguły gry, jak w szachach. Nie mogą tego zakomunikować innym działaniem, np. pokazaniem języka.

Zdaniem Jerzego Kmity w kulturze ponowoczesnej mamy do czynienia z procesem kurczenia się sfery symbolicznej. W tym sensie mówi on o „kulturze bez symboli”. Chodzi m.in. o to, że w dobie indywidualizacji światopoglądów komunikacja staje się coraz trudniejsza i coraz częściej prowadzi do frustracji, albowiem jednostki ludzkie posiadają coraz mniej wspólnych konwencji i wartości oraz coraz trudniej dojść im do porozumienia. W takim ujęciu dalsze kurczenie się sfery symbolicznej może prowadzić do daleko idących negatywnych konsekwencji, w tym do chaosu komunikacyjnego, w którym poszczególne podmioty, uwolnione od zaplecza sfery symbolicznej, będą musiały podejmować niebywały trud, aby

uzgodnić co, jak i dlaczego komunikują.

Weźmy przykład: otwieranie drzwi przez mężczyznę w celu przepuszczenia kobiety jako pierwszej. To norma grzeczności, w której zostałem wychowany. Dzisiaj może być ona potraktowana przez feministkę jako przejaw dyktatury patriarchy i okazania mojej męskiej wyższości i cielesnej dominacji. A zatem nie przepuszczam w drzwiach kobiety jako pierwszej. W innym przypadku kobieta o raczej tradycyjnym podejściu, jeśli jej nie przepuszczę w drzwiach, uzna mnie jednak za chama. Aby nie dyskryminować kobiety (przypadek z feministką) lub nie popełnić kulturalnej gafy (nie-feministka) musiałbym za każdym razem pytać każdą kobietę o to, czy mogę lub też nie otworzyć jej drzwi, bo przecież nie jestem w stanie rozpoznać światopoglądu po wyglądzie, a zatem nie wiem, jak się zachować, jakie podjąć działanie, aby nie narazić się na negatywną ocenę.

W takich okolicznościach dwójka spotykających się osób, pozbawiona konwencji, czyli sfery symbolicznej, musi wszystko między sobą negocjować. Część badaczy wita to z entuzjazmem, albowiem w ich ujęciu to prawdziwa wolność: nie dławią nas już kulturowo-komunikacyjne nawyki, możemy dowolnie tworzyć swoje mini-wspólnoty (mniej lub bardziej trwałe). Zgoda, lecz nie dostrzegają, iż owe negocjowanie wymaga czasu, energii i chęci. Brak jednego z tych zasobów prowadzi do zaniku komunikacji, zaniechania jej. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, albowiem komunikacyjne wymyślanie świata codziennie na nowo byłoby koszmarem i wymagało ogromnych pokładów czasu i energii, których trwałość konwencji nam zaoszczędza. W tym sensie sfera symboliczna jest gorsetem, ale gorsetem koniecznym, a jego zupełne rozsznurowanie doprowadziłoby do niemożności komunikacji, bowiem każdy z każdym musiałby wszystko ustalać od początku.

Warto w kontekście powyższego przykładu podkreślić dwie istotne kwestie.

Po pierwsze nie idzie mi o ocenę samej konwencji, ile o fakt ich mnożenia. Faktem jest, że nasze światopoglądy się pluralizują (choć i zachodzi proces ich ujednociania), a zatem i zmieniają się działania komunikacyjne: jakieś zanikają, pojawiają się nowe, a dotychczasowe zmieniają znaczenia. Planem, w którym można opisywać żywioł komunikacji jest, z jednej strony, powszechne dzielenie sfery symbolicznej, w tym konwencji komunikacyjnych, z drugiej zaś idiosynkrazja. Obie strony są w dzisiejszych realiach kulturowych niemożliwe, albowiem nie wszyscy ludzie naszej kultury dzielą całość jej sfery symbolicznej oraz nie wszyscy komunikują się po swojemu, na własny sposób, pod groźbą bycia niezrozumiałymi. Chodzi mi jedynie o fakt, że być może zbliżamy się do pewnego punktu krytycznego komunikacji, w którym faktycznie trzeba będzie negocjować podstawowe znacznie działań komunikacyjnych, jak np. otworzenie drzwi czy „puszczenie oka”.

Po drugie, oba te działania mogą być różnie zinterpretowane. Zgadza się, że w normach grzeczności jest zawarty pewien światopogląd. Koniecznym jest jednak uwzględnienie intencji działającego nadawcy, albowiem bez uwzględnienia intencji postrzegamy w tym przykładzie mężczyznę jako znacznie gorszego niż jest, nie mówiąc już o tym, że nasze światy się nie spotykają, gdyż uważamy go np. za chama, nie mając świadomości, że nie chciał nas dyskryminować (miał zatem dobre intencje). Wszak z tego względu prawo nakazuje surowiej karać kogoś, kto zrobił coś z premedytacją. Dzisiaj jednak mamy coraz większą tendencję do wydawania wyroków bez rozpoznania tej intencji. Dlaczego? Bo czujemy się urażeni, co starcza za załatwienie całej sprawy etykietą „cham” lub „męski szowinista”. Nawet jeśli jakieś zachowanie nas rani, to brak rozpoznania intencji jest wkroczeniem na ścieżkę wojenną, gdyż z tyłu głowy znajduje się przekonanie, że wszyscy chcą mnie skrzywdzić, bo poczułem się skrzywdzony (trafnie piszą o tej kwestii autorzy „Rozpieszczonego umysłu”). Moje odczucie blokuje komunikację, a zatem ustawienie go jako arbitra

względem oceny sytuacji i jej znaczenia jest często drogą donikąd, gdyż zamykamy się w swoim świecie nie wiedząc do końca, czy ktoś faktycznie chciał nas urazić czy zdyskryminować. Słowem, nie wyciągamy wniosków z faktu pluralizacji, traktując swoje odczucia jako zastępujące poznanie, emocje zastępują analizę danej sytuacji, gdyż ta wymaga trudu, który jest pomijany. To prosta droga do rozwalenia komunikacji oraz rozpadu wspólnoty, gdyż jeśli tak się czuję, to w świecie jest właśnie tak. Czucie zastępuje sferę symboliczną, która znika, a zatem nie ma się do czego odwołać, aby sprawdzić, czy naprawdę powinienem czuć się urażony.

Warto przywołać jeszcze jednego badacza kultury, wspomnianego już Richarda Sennetta. Zanikanie sfery symbolicznej kultury w rozumieniu Kmita, które u Sennetta występuje pod nazwą sfery publicznej, związane jest nie tylko z rosnącym indywidualizmem, ale – obok sekularyzacji oraz dominacji kapitalizmu – także z narcyzmem. Narcyzm w ujęciu tego badacza polega na skupieniu się na samym sobie oraz zaangażowaniu tylko w to, co jest związane z Ja i co dla tego Ja ma być użyteczne. Wszystko inne bowiem jawi się jako nieciekawe, nudne, głupie i wymagające niepotrzebnego wysiłku emocjonalnego. Narcyz może być zaangażowany w kontakt z drugim człowiekiem o tyle, o ile przynosi mu to korzyści: w tym sensie narcyz to ktoś pozbawiony empatii, traktujący ludzi jako środek do swoich celów, nigdy zaś cel.

Zdaniem Sennetta dużą rolę w procesie „upadku człowieka publicznego”, czyli chcącego uczestniczyć w kulturze, odegrała psychologia, która znakomicie wstrzeliła się promowany przez kulturę kapitalistyczną indywidualizm, przekonując skutecznie, iż, po pierwsze, rozwiązania wszelkich problemów, zarówno społecznych, jak i indywidualnych, należy poszukiwać w jej życiu wewnętrznym, po drugie, kultura jest źródłem cierpień i aby być autentycznym, należy zrzucić jej gorset i robić to, co się czuje – wtedy jest się sobą.

Nie miejsce tutaj, aby rozważać, dlaczego kultura jest czymś znacznie ważniejszym i nie tylko źródłem cierpień. Ograniczę się do wskazania fundamentalnej konsekwencji komunikacyjnej wynikającej z takiego podejścia. Autentyczność, ten fetysz ponowoczesności, maskujący w zasadzie narcystyczną tendencję, sprawia, że stawiając siebie w centrum, przestajemy chcieć i potrafić grać w kulturę, tj. używać społecznych konwencji dla gładkiego porozumiewania się. Konwencje oczywiście w jakiś sposób nas krępują, ale zarazem umożliwiają bycie razem. W takim ujęciu Sennett mówi o barbarzyństwie indywidualizmu, które za czasów dawnych plemion prowadziły do przemocy.

A do czego prowadzi dzisiaj, gdy używanie przemocy jest zakazane?

Dobłą inspirację w tym zakresie stanowi mini-esej hiszpańskiego filozofa Javiera Goma Lanzona pod tytułem „Prawdę mówiąc, za szczerość dziękuję”. Autor pokazuje tam związek „cnoty uprzejmości” z wynalazkiem jednostki, byciem „Ja”, „samym sobą”. W XVIII wieku uznano, że najprawdziwsze „Ja” kryje się w naturalnych skłonnościach, w spontanicznym sposobie odczuwania, myślenia, działania. Jedynym obowiązkiem człowieka staje się „bycie sobą”, co wyrażane jest poprzez bycie szczerym, przyznawanie się otwarcie do swoich złych i dobrych cech, by powiedzieć światu: „Taki właśnie jestem”. Nie jest w cenie ujarzmienie namiętności, poskromienie popędów, ukrócenie szkodliwych skłonności czy szacunek dla konwencji, które od tej pory zostają potępione i uznane za hipokryzję, udawanie i przywdziewanie maski. Filozof mówi nawet o unicestwieniu kultury uprzejmości, polegającej na kompromisie z rzeczywistością (np. możemy chodzić nago, ale jednak ubieramy się) poprzez nowożytny „wybuch szczerości”, która pogardziła hamulcami wypracowanymi w wyniku kompromisów pomiędzy wrodzonymi skłonnościami a kulturą.

Autor przywołuje przykład Moliera, który wyśmiał nadmiar szczerości. W „Mizantropie” rozwścieczony Alcest nie chce kilkoma prostymi słowami pochwalić wierszy Oronta, infantylnie

zadowolonego ze swojej poetyckiej twórczości, ponieważ, jak mówi, chce być szczery i jako człowiek honoru nie chce wypowiedzieć ani słowa, które nie pochodziłoby z głębi serca. Przez ten brak uprzejmości, przy którym konsekwentnie obstaje, ukochana zaczyna nim gardzić, przyjaciele odsuwają się, społeczeństwo go odrzuca i w efekcie mizantrop zaszywa się w swojej wieży, nienawidząc całego rodzaju ludzkiego.

To, o czym pisze Lanzon, zostało bez wątpienia spotęgowane przez kulturę narcystyczną. Finalny etap to samotność, odrzucenie, nienawiść do świata, w którym nie można być tylko na własnych warunkach, a zatem odmawia się udziału w kulturze i komunikacji. W konsekwencji inny człowiek staje się balastem, trzeba od niego uciekać, odcinać wszelkimi możliwymi sposobami, gdyż jego podmiotowość domaga się czegoś od mojej, np. czasu i uwagi. W efekcie wszyscy stajemy się mizantropami. Wszak często daje się słyszeć opinię, będącą powodem do dumy, iż „nienawidzę ludzi”. To zrozumiałe, bo jeśli te kontakty stają się trudne i kosztowne, to po co się męczyć? Lepiej zaspokoić potrzebę komunikacji z ludźmi innymi bytami (poza-ludzkimi) niż oni, gdyż to one dostosują się do nas, w tym naszych wyobrażeń.

Podam kilka przykładów, które zobrazują powyższy opis, opierając się na własnych doświadczeniach oraz obserwacjach.

Jednym z miejsc, które zamienia się w nie-miejsce, szczególnie w dużych miastach, jest siłownia. Posługując się opozycją „kiedyś – dzisiaj”, można powiedzieć, że kiedyś ćwiczenie na siłowni było bardziej lokalne, a zatem i wspólnotowe, wręcz towarzyskie. Wynikało to w dużej mierze z faktu, iż siłownie były w szkołach, w halach sportowych, przy kortach tenisowych lub w większych komendach policji. Istniał cały szereg rytuałów komunikacyjnych: od przywitania się, ogólnie bądź z każdym osobno, po pożegnanie się. Jeśli chciałeś używać jakiegoś sprzętu, pytałeś o ilość serii, jaką ktoś miał do zrobienia, ewentualnie czy możecie się zmieniać – był to normalne i bezproblemowe. „Za moich czasów”, czyli jakieś dwie

dekady temu, w małym dolnośląskim mieście, starsi czy dłużej ćwiczący dawali rady mniej obeznanym z poprawną techniką, poszczególnymi ćwiczeniami, narażeniem się na kontuzje etc. I chociaż istniała swoista hierarchia ćwiczących, od największych do najmniejszych, czasami podszyta pewną wyższością, zazwyczaj jednak istniejącą w humorystycznej formie, to wszyscy wszystkich znali i nierzadko ze sobą rozmawiali w chwilach dłuższych przerw. Na siłowni panowała towarzyska atmosfera, miałeś na niej po prostu kolegów. Dzisiaj rady kolegów zastąpiły porady internetowych trenerów, które można w czasie treningu znaleźć w kilka sekund. Koledzy przestali być potrzebni.

Siłownia, na której dzisiaj ćwiczę, czyli podwrocławska siłownia ulokowana w hali sportowej, jest już innym miejscem, nie-miejscem właśnie, analogicznie jak tzw. siłownie-sieciówki. Te ostatnie są profesjonalizowane, łącznie z określeniem praktyk higienicznych, będących wynikiem zmiany w stosunku do ciała swojego oraz innej osoby. To także miejsce konsumpcji określonych suplementów, odpowiednich batoników etc. Bardzo ważna jest estetyka odzieżowa oraz estetyka ciała. Wylewany kiedyś na siłowniach pot dzisiaj odstrasza (niektórzy przychodzą wyperfumowani), a założenie najgorszych, powyciąganych dresów wręcz kompromituje. Moja obecna siłownia jest gdzieś pomiędzy miejscem a nie-miejscem.

Obserwując na niej różne przedziały wiekowe ćwiczących oraz prawdopodobną pamięć o „kiedyś”, widać, jak zamiera komunikacja między ćwiczącymi. Witają i żegnają się osoby 30-40 plus (płci obojga), a młodszy w zasadzie w ogóle. Unikają oni jakiegokolwiek komunikacji; czasami widać, że chcą poćwiczyć na danej maszynie, ale nie pytają, ile komuś „jeszcze zostało”, tylko zaczynają ćwiczyć na innej. Każdy ćwiczy w słuchawkach, zamykając się tym samym w swoim świecie. Nie istnieją żadne interakcje, nawet wtedy, gdy mijamy się gdzieś na osiedlu. Zupełnie inaczej jest w przypadku osób starszych. Rzadziej używają słuchawek, a jeśli już, często je

ściągają, by o coś zapytać, rytualnie zamienić dwa słowa np. w szatni. Często są to żarty lub rytualne narzekania na kontuzje, formę. Rozpoznajemy siebie w innych miejscach i witamy się, np. w osiedlowym sklepie. Słowem: „znamy się z widzenia”, tworzymy wspólnotę nie tylko ćwiczących, ale i wspólnotę sąsiedzka. Dzięki temu przestrzenie, w których przebywasz, są bardziej oswojone, jesteś bardziej u siebie.

Nie sposób w tym miejscu opisać wszystkich przyczyn owych przemian komunikacyjnych. Na pewno wpływ miała także sfera technologiczna: kiedyś z jednego magnetofonu wszyscy na siłowni słuchali tego samego i ewentualnie komentowali, dzisiaj każdy słucha tego, czego chce. Założenie słuchawek, już wtedy przecież istniejących, było raczej źle widziane, gdyż ich noszenie jasno komunikowało: mam swój świat, nie przeszkadzaj mi, chcę pobyć sam. Gdy kiedyś ktoś unikał ludzi, był traktowany jako dziwak, bo przecież lepiej mieć kolegów na siłowni niż ich nie mieć, a muzyki mogłeś posłuchać w domu. Dzisiaj dziwactwem jest sytuacja odwrotna.

Brak kontaktu dotyczy nawet osób zatrudnionych na siłowni, albowiem rzadko kto rozmawia z kimś z recepcji, a wręcz dąży się do zminimalizowania tego kontaktu poprzez aplikacje, które tylko przykładasz do odpowiedniego urządzenia bez konieczności kontaktu.

Nawet materialna infrastruktura na siłowni odzwierciedla te zmiany: przyrządy są ustawiane tak, aby jeden ćwiczący nie patrzył na drugiego. Zresztą unikanie kontaktu wzrokowego jest u młodego pokolenia bardzo częste, wręcz można mówić o tendencji do odcieleśniania komunikacyjnego, np. mało kto podaje sobie rękę na przywitanie (i było to zauważalne już przed pandemią).

Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie twierdzę, że nie da się jakoś sensownie zracjonalizować braku komunikacji z innymi ćwiczącymi i że dotyczy to wszystkich młodych ludzi, albowiem mówię o obserwowanym wzorze czy schemacie. Nie znam rzecz

jasna każdorazowych intencji w owej „niemej” komunikacji, ale nie należy zapominać, iż to kultura w dużej mierze zarządza tym, czego chcemy, a czego nie (nikt nie wymyśla sobie hierarchii wartości codziennie po przebudzeniu). Niezależnie jednak od intencji podejmowanych działań, faktem jest, że mamy do czynienia z zanikiem komunikacji w imię wyznaczanych samodzielnie wartości (i technologicznych możliwości ich realizowania), w hierarchii których najwyżej jest mój komfort. „Co w tym złego? – może ktoś zapytać. A to, że twój świat społeczny się kurczy. „To ja będę ustalał, w jakich światach chcę brać udział”. Zgoda, kłopot w tym, że z tymi, z którymi jesteś najbliżej fizycznie, jesteś jednocześnie najdalej. Każda zmiana w sferze wartości i wzorów komunikacyjnych to rachunek zysków i strat dla naszego bycia w świecie i z innymi ludźmi. Zyskując komfort – tracimy kolegów, a miejsce przekształca się w nie-miejsce, swoistą fabrykę ciał, w których ludzie-maszyny wykonują odpowiednie procedury, realizując projekt „ciało”.

Innym przykładem może być podróżowanie pociągiem. Kto pamięta czasy sprzed wagonów samolotowych, stref ciszy, numerowanych biletów, laptopów, smartfonów z dostępem do internetu wie, o czym mówię. Trafnie ten klimat „sprzed” oddała Paulina Wilk w „Między walizkami”.

Podróżowanie było znacznie bardziej towarzyskie, ludzie chętnie ze sobą rozmawiali, wymieniali się opiniami, opowiadali sobie różne historie, komentowali to, co za oknem, dawali rady. Istniały pewne kulturalne normy: „Dzień dobry”, „Do widzenia”. Kto chciał, ten zatapiał się w lekturze książki lub gazety (wszak zawsze istnieje jakiś sposób „wyłączenia się”), ale na ogół ludzie uznawali, że inny pasażer nie jest przeszkodą, po prostu widzieli w nim partnera do rozmowy: czy to luźniejszej, czy poważniejszej. Podjęcie rozmowy było ryzykiem, ale zazwyczaj się opłacało, gdyż okazywała się ona ciekawa lub zwyczajnie miło spędzało się czas, a droga nie dłużyła się tak bardzo.

Dużo podróżowałem i podróżuję pociągami. Tym, co rzuca się w oczy w opozycji kiedyś a dzisiaj, jest zanik komunikacji. Dzięki technologicznym możliwościom ludzie pracują, oglądają filmy, rozmawiają przez komunikatory, słuchają muzyki czy podcastów, ale nie rozmawiają już z innymi ludźmi. Współpasażerów traktuje się jako nieistniejących i nieważnych. Co więcej, szczególnie wśród młodego pokolenia, które w pociągu jest zupełnie „odcięte”, nierzadko zapytanie o coś, próba nawiązania rozmowy, budzą niepokój. Widać, że jest dla tych osób, choć zapewne nie wszystkich, niekomfortowe, gdyż narusza przestrzeń, w której się szczelnie zamknęli.

To wynik nie tylko tego, że jest się skoncentrowanym na sobie, ale także całego kompleksu milczących założeń narcystyczno-mizantropicznych, podpowiadających, że inny jest z pewnością głupszy niż ja, a w związku z tym nie jest w stanie w jakikolwiek sposób mnie zaciekawić, a zatem w rozmowie to ja stracę, a on zyska. Widać tutaj kapitalistyczno-rynkową logikę zysku i straty w komunikacji z drugim człowiekiem, w której to ja muszę być wygranym, tj. więcej dostać niż dać z siebie. Jeśli szybko ocenię, iż stracę, odmawiam komunikacji. Tym, co rządzi działaniami takich osób z młodego pokolenia, jest bezpieczeństwo zamiast ryzyka, choćby najdrobniejszego, jak podjęcie rozmowy z obcym.

Ich logika jest taka: zapłaciłem za bilet, jadę z A do B, a w między czasie będę robił to i tamto. Każde zakłócenie tego „projektu podróży” irytuje. Rozumiem to, sam, kiedy miałem coś pilnego do przeczytania, więc się wyłączałem. Robiłem to jednak w sposób delikatny, tj. przepraszałem współpasażerów, mówiąc, że naprawdę muszę to przeczytać, podając jakiś prawdziwy lub wymyślony powód. Tak, byłem nieszczerzy, ale to drobne kłamstwo sprawiło, że moi współpasażerowie nie odczuli, że nie chcę z nimi rozmawiać, a ja osiągnąłem swój cel.

Na tym polega zapomniana sztuka towarzyskości. Dzisiaj, twierdzi Sennett, nie chcemy już zakładać masek, ugryźć się w język, gdyż zawsze musimy być autentyczni, co nierzadko

oznacza bezwzględną i sadystyczną niekiedy szczerość, ostentacyjne wręcz pokazanie, jak bardzo nie chce mi się z tobą rozmawiać. Ponadto, obserwując różne pociągowe sytuacje, widać, że część osób boi się podjąć działania komunikacyjne, albowiem grozi to, po pierwsze, naruszeniem komfortu innej osoby, a tego robić nie chcemy, a po drugie narażeniem się na uświadomienie mi, że nie jestem na tyle ważny, aby podjąć ze mną rozmowę. A zatem najlepiej nic nie robić, gdyż nie wiem, jak zostanie to zinterpretowane, choć najczęściej zakłada się scenariusz negatywny, blokujący podejmowanie działań.

Czy naprawdę chcielibyśmy żyć w świecie całkowitej szczerości? Wystarczy obejrzeć film „Kłamca, Kłamca” z Jimem Carreyem, żeby zobaczyć, jak mogłaby wyglądać taka rzeczywistość w sensie komunikacyjnym i jak wiele można wyrządzić szkody dobrą intencją mówienia prawdy. Nie chodzi mi o to, żeby rzucać się w ramiona współpasażerom, popadać w skrajność dyktatu innych, narażać się na cierpienie obcowania z kimś, z kim przebywać nie chcemy. Warto jednak dostrzec fakt, iż usytuowanie mojego Ja na pierwszym miejscu plus brak empatii to prosty przepis na rozwalenie komunikacji i wspólnoty, choćby na czas podróży.

Dlaczego ta Sennettowska towarzyskość jest taka ważna?

Wskazane powyżej wszystkie komunikacyjne zmiany są dla naszej wygody i komfortu, ale konsekwencje są także anty-społeczne, gdyż nas od siebie izolują. Warto w tym kontekście przypomnieć uwagę Theodora W. Adorno, który pisząc o samochodzie, zauważył, iż umożliwił on ucieczkę od współpasażerów w przedziale kolejowym. W tym sensie medium komunikacji może izolować ludzi od siebie fizycznie. Dzisiaj mamy takie media i urządzenia, które przenoszą naszą obecność w inny świat, pozafizyczny, choć nasze ciała są oddalone od siebie o kilkanaście centymetrów. Moim zdaniem jeśli coś rozwali naszą komunikację i wspólnotę, będzie to „dobrowolnie” wybierany komfort (i spersonalizowana przyjemność-oferta) – nowe, medialno-cyfrowe barbarzyństwo hiperindywidualizmu.

Nasz indywidualny świat, który możemy tworzyć na swoją miarę, niczym nieograniczona autokreacja, wydaje się niezwykle pociągającym pomysłem. Ma ona jednak i swoje negatywny, bo w rzeczywistości złożonej z takich jednostek każdy uważa dokładnie to samo i realizuje to samo: siebie. I tylko na sobie jest skupiona. Treść powszechnie podzielanego przekonania anihiluje społeczeństwo, sprowadzając je do zbioru identycznych jednostek, których nic ze sobą nie łączy. To przepis na katastrofę, którą już obserwujemy, czego widowym znakiem są epidemia samotności i depresji oraz entropia.

Możesz mieć swój świat, ale jeśli nie potrafisz go zakomunikować, a co gorsza, nikt nie jest go ciekawy, bo też jest skupiony na sobie, to zostajesz ze swoim światem sam. W tym sensie stajemy się, paradoks po raz pierwszy, społeczeństwem monadycznym.

Materialnością, która umożliwia powstawanie monad, jest technologia, służąca, znowu paradoks, komunikacji. Przyglądając się młodemu pokoleniu, uważam, że tak jak słuchawki zapewniają im bezpieczeństwo, tj. brak kontaktu z innym ćwiczącym, tak ekrany są ich tarczą przed światem kontaktu bezpośredniego, którego w dużej mierze się boją, gdyż trudniej w nim udawać kogoś, kim się nie jest, a z trudem budowany wizerunek może zostać zweryfikowany. To ucieczka od – paradoks numer trzy – fetyszyzowanej autentyczności. Komunikacja twarzą w twarz jest dużo bardziej spontaniczna, żywiołowa, nieprzewidywalna, a to budzi lęk i obawę przez utratą poczucia kontroli, gdyż komunikacja musi przebiegać po z góry ustalonym torze własnego projektu (to zresztą kluczowa metafora młodego pokolenia zarządzająca ich życiem, a także komunikacją). Jak słusznie zauważa Byung-Chul Han pierwotne znaczenie ekranu to powłoka.

W takim ujęciu komunikacja medialnie zapośredniczona, która miała pomagać w kształtowaniu kontaktów w rzeczywistości niewirtualnej, wcale jej nie pomaga, wręcz ją dewastuje, co opisała Sherry Turkle. Psycholożka technologii przekonująco

udowadnia, że rozwój technologii oraz zapośredniczenie komunikacji poprzez nowe technologie przyczyniają się do utrudnienia komunikacji międzyludzkiej. Zaczyna to być coraz większym problemem, skutkując izolacją i niszczeniem więzi międzyludzkich. Młode pokolenie, w przeciwieństwie do pokolenia przedinternetowego, ze szczególnym uwzględnieniem mediów społecznościowych, było wręcz przymuszone do komunikacji face to face. Jeśli taka komunikacja była bezalternatywna, nie była w ogóle odczuwana przez wiele osób jako przymus – była jedynym dostępnym światem. Dzisiaj jest inaczej. Trzeba jednak mieć świadomość, że zawsze w komunikacji jest coś za coś, nabywając jedne umiejętności tracimy inne, jedno medium coś daje, ale i coś zabiera. Warto nad tym rachunkiem się zastanowić.

Autorstwo: dr Michał Rydlewski

Źródło: NowyObywatel.pl